

bie miejsce; w domu obłąkanych. Dziś jeszcze dowie się księżna o twej burzliwej schadzce z księciem. A teraz idź nędznicu!

Klara wyszła z zamku przerażona, złamana, bezprzytomna.

W obronie cnoty.

Marszałek Wurm wpatrywał się pożądliwie w kłęczącą Hanię. Gdy dostrzegła jego wzrok wstrętny, nikczemny, przerażona spytała:

— Czego pan sobie życzy?

— E, e, moje dziecko, czegoż się lękasz?

— Nie rozumiem, jak pan możesz tu przychodzić po tem wszystkiemu, co dziś uczyniłeś. Obrąziłeś mnie najdotkliwiej, gdy przybyła do zamku księżęcego, a teraz ścigasz mnie jeszcze w domu mego ojca. Proszę wyjść!

— A jakżeś ty piękna z tym gniewem! Podobna mi się taka żywość, taka energia. Nie chcesz uwierzyć, że jestem twoim najlepszym przyjacielem.

— Nie chcę pańskiej przyjaźni i nie wierzę w nią.

— Ależ zastanów się dziecko. Nie masz już nikogo na świecie, bo ojciec w więzieniu, a czeka go wyrok straszny. Gdybyś miała rozum i powierzyła mi się z zaufaniem, ocaliłbym ci ojca od szubienicy!

— Od szubienicy! krzyknęła Hania i z największym przerażeniem załamała ręce.

— Tak, od szubienicy szeptał Wurm i zbliżył się do Hani i wpatrywał w nią wzrokiem coraz pożądliwszym i dyszał oddechem rozpustnika.

Hania rzuciła okiem na niego, odskoczyła ze wstrętem, twarz zasłoniła rękoma i jęła przeraźliwie:

— Boże! zlituj się nademną!

Wurm ujął ją za rękę i pogłaskał po twarzy.

— Precz odemnie nędzniku! krzyknęła.

— Ej, nie tak groźnie mościa panno, syknął Wurm i, uchwyciwszy ją silnie za rękę ciągnął ku sobie.

— Puszczaj! wołała Hania.

— Musisz być posłuszną mej woli. Daremnie byś wołała pomocy, niema tu nikogo, tylko ja i ty. Jeżeli dobrowolnie nie ulegniesz, to cię do tego zmuszę.

— Nigdy! zawołała Hania. Wydarła się z rąk Wurma i spostrzegłszy w kącie strzelbę swego ojca, pochwyciła ją i wymierzyła do Wurma.

— Uchodź wołała, uchodź, bo strzelę. Powiedziałeś, że tylko ja tu jestem i ty. Zapomniałeś, że był jeszcze Bóg, który mi tę broń podał w rękę.

Wurm zgrzytnął i spojrzał wściekle na Hanię i znowu twarz ułożył tkliwie i czule, i z uśmiechem podłej obłudy spoglądał na nią, nie ruszając się z miejsca.

— Czego pan chcesz jeszcze? nie nadużywaj mojej cierpliwości.

— Słuchaj dziewczyno. Mówmy rozsądnie, spokojnie. Na ojca twego ma zapasć wyrok śmierci, a ty możesz go ocalić.

— Ocali go Bóg, jeżeli wysłucha modłów moich.

— Ale Pan Bóg każe dzieciom poświęcać się dla rodziców. A czy to tak trudno poświęcić ci dla mnie...

— Milcz nikczemniku! mój ojciec wołałby dwa razy umierać, niż doczekać się hańby swojego dziecka. On by mną pogardzał, gdybym mu hańbą życie okupić chciała. Idź nędzniku natychmiast, nie lękam się ciebie. Bóg sieroty nie opuści. Z pomocą Bożą dostanę się do księcia i zdołam uprosić łaski dla biednego ojca. Prędkiej!

Podniosła broń i mierzyła w pierś Wurma. Wurm wykrzywił twarz szatańskim uśmiechem, oczy mu zapłonęły wściekłością.

— Ha! zmij, gadzino. Policzmy się. Ja cię nauczę rozumu i posłuszeństwa. Jeszcze będziesz u stóp moich żebrała litości!

Krzyknął i wypadł kipiący gniewem, a zaledwie drzwi się za nim zawarły, Hania upadła bezwładnie na kolana, strzelba wypadła jej z ręki i z rozdartego jej serca wydobyło się łkanie:

— Boże najświętszy, ocal mojego ojca, a ochroń mnie przed tym nędznikiem.

Rozpacz matki.

Matka Ryszarda wróciła niedawno ze stolicy. Była tam, by odwiedzić syna w więzieniu. Straszne przywiozła wieści, bo wszystkie poszlaki obwiniają niewinnego, a niczem nie można tych poszlak usunąć. Wróciła z rozdartem sercem, pełna rozpacz. Zamknęła się w pokoju, w którym jej mąż ostatnie wydawał technienia i unosiła się duszą ku jego duszy, aby jej tam gdzieś dopatrzeć i wołać: Tyś bliżej już Boga, więc błagaj o sprawiedliwość dla naszego dziecka. Łzy i modlitwa sprawiły jej ulgę.

Hania, dowiedziawszy się o powrocie baronowej, natychmiast do niej pospieszyła, by dzielić z nią boleść, by koić rozpacz matki boleścią narzeczonej.

— Bóg zapomniał już o mnie, wołała baronowa. Ryszard, mój Ryszard niewinnie będzie zasądzony. Mego syna czeka śmierć i hańba!

— Uspokój się mateczko Ufaj Bogu. Bóg

Boska spadnie na nich, że go posadzili. Ja ci powiadam, że tego komisarza i tych sędziów Bóg ciężko dotknie. Jakże można? Nie słychana rzecz! Takie paniątko grzeczne, dobre!

— A no, straszna to historia, odpowiedział Wawrzyniec, straszna — ale cóż na to poradzić? Zadzumali się starzy.

— Wybyście poradzili na to, panie Wawrzyncze, odezwała się Hania, niespostrzeżenie tu wszedłszy. Zerwał się Wawrzyniec i zapytał zdumiony:

— Ja? ja panno Haniu? a to jakim sposobem?

— Przecież kochany pan Wawrzyniec jest dozorcą więzień, więc mógłby zobaczyć się z Ryszardem.

— No, zobaczyć mi się nie trudno, boć nawet nieszczęśliwy pan baron jest właśnie pod moim kluczem.

— Co za szczęście! zawołała Hania — i pobiegła do baronowej.

Po chwili wróciła z nią i rzekła:

— Mateczko! Bóg nam zesłał sposób ocalenia Ryszarda. Mateczko! Pociesz się, Bóg go ocali, a nas pocieszy.

— Dziecię moje, drogie dziecko, co ty mówisz? szeptała baronowa i spoglądała nieśmiało, badawczym wzrokiem to na Bertolda, to na Wawrzyńca.

— Jedynym środkiem ocalenia Ryszarda ułatwić mu ucieczkę z więzienia, a tego Wawrzyniec dokona.

— Dla Boga! co panienka mówi? Mnie żal, bardzo żal i panicza i pani baronowej i panienki. Mnie bardzo żal, ale nie mogę więźnia wypuścić, a tożbym stracił kawałek chleba na stare lata i jeszczeby mnie zamknęli za karę.

— Nie, nie panie Wawrzyncze, nic wam nie będzie, Bóg wam pobłogosławi, bo spełnicie szlachetny czyn, ocalicie niewinnego! wołała Hania załamując ręce.

— Człowieku zacny, człowieku święty, ocal dziecko moje, zawołała z łkaniem baronowa i padła na kolana przed Wawrzyńcem i wyciągnęła ku niemu dłonie, jak do modlitwy.

Bertold skamieniał z bólu, gdy zobaczył, że jego pani, że baronowa kłęczy u stóp jego brata.

— Pani baronowo, ryknął ze łzami, pani moja! To nie może być. Pani kłęczy. Boże święty! Niechże pani baronowa się podniesie.

— Wawrzyniec, jeżeliś człowiek, jeżeliś mój brat, jeżeli masz Boga w sercu, pamiętaj, musisz wypuścić panicza, musisz.

Wawrzyniec rozwarł szeroko oczy, jak człowiek, co nie pojmuje, nie rozumie czego właściwie chcą od niego.

— Słuchajno Wawrzyniec — mówił łkającym szeptem Bertold — tyle tylko zrobisz, żeby panicz się dowiedział, iż musi uciec, no i dowie się jak to zrobić, a zresztą to już moja głowa.

Bracie! bracie! Pamiętasz? co nam ojczyśko powtarzała? Pamiętasz? co? A no mawiał: chłopcy pomagajcie sobie i kochajcie się zawsze, a jeden za drugiego niech w ogień skoczy. No, widzisz. A panicza mi ocalisz, to jakbyś mnie ocalił, bo jabym za niego oddał życie. Wawrzyniec! Słuchaj! Żeby łyzy baronowej, łyzy matki nie spadły na twoją duszę, bo paliłyby cię i tu i tam, wiesz, tam... za grobem. A czy ty myślisz, że jabym przeżył panicza? O, Boże mój, toć jabym padł trupem odrazu, jakby się jemu przytrafiło zginać marnie.

— Bądźcie spokojni, panie Wawrzyncze, mówiła Hania. Ułożymy taki plan, że dla pana nie będzie żadnego niebezpieczeństwa.

Wawrzyniec tłumiał długie wzruszenie, nareszcie ryknął płaczem:

— Niech się dzieje co chce, żeby mnie nawet nieszczęście miało spotkać, uczynię wszystko, co zechcecie.

Bertold rzucił mu się na szyję i dwaj osiwiali bracia uściskali się tak serdecznie, jak może nigdy w życiu, a potem baronowa i Hania ścisnęły kolejno Wawrzyńca i Bertolda i nie było tu pani i służącego, baronowej i dozorcę więzienia, jeno szlachetny zbawcy i serca wdzięczne dla dobroczyńców.

C. d. n.



„Uchodź wołała, uchodź bo strzelę!“

czuwa nad nami; ja to czuję; jakiś głos wewnętrzny szepta mi słowa wiary i pociechy, Bóg ocali Ryszarda, lub nam go ocalić pomoże.

Matka i narzeczonej opłakiwały dolę najdroższego; chociaż wiara i modlitwa były wielką dla nich dźwignią, boleści ukoić nie zdołały. Wyczerpane, znękanne siadły obok siebie jak dwa posagi Nioby. Tylko łyzy płynęły im z oczu, tylko piersi podnosiły się westchnieniem.

We drzwiach komnaty ukazał się stary Bertold. Nie śmiał przerwać tej łzawej ciszy, więc stał chwilę na progu. Jego pani płacze, jego pani złamana podwójną żałobą, upada pod nawałem cierpienia, więc stary sługa, osiwiały w wiernej służbie w domu baronostwa, nie mógł na to patrzeć obojętnie, — łyzy mu po twarzy pociekły, żal go zdławił i cofnął się do swojej izdebki, gdzie za stołem zasiadł siwy człowiek, o szlachetnym wyrazie twarzy, ubrany w mundur dozorcę więźni. Był to brat Bertolda. Przybył tu, by go odwiedzić.

— Słuchaj Wawrzyniec! rzekł Bertold zalany łzami — ja tego nie zniosę, ja nie mogę patrzeć na to wszystko. Mnie dyabli wezmą. Ja wiem, przysięgnę, że nasz panicz niewinny; takie było to zawsze dobre chłopczątko, takie bogobojne, liściowe. Ale, Boże! jakże można?! Strach! Kara